

# PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO  
ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci

## Wśród lodów północy



Zbliża się zima. Dnie takie krótkie, że szaro jest jeszcze za oknami, gdy trzeba zerwać się z łóżka i iść do szkoły.

Trudno oderwać się od ciepłego posłania i nie jedno z Was, dzieci, kuli się,

krzywi i złorzeczy szkaradnej porze roku, która przynosi z sobą szarugę, smutek i zimno.

A przecież są na świecie ludzie, dla których nasza średnia temperatura zimo-



wa jest prawie letnią i którzy żyją w ciągu kilku miesięcy w długiej nieprzerwanej nocy.

Są to mieszkańcy stref podbiegunowych, zamieszkujący przestrzenie na których życie ludzkie zdaje się niemożliwym; żyją oni jednak swem własnem życiem i prawdopodobnie umarliby z tęsknoty, gdyby przeniesiono ich do naszego klimatu i zmuszono żyć w naszych warunkach.

Do ludów dalekiej północy należą między innymi Eskimosi, zamieszkujący półwysep Grenlandję w północnej Ameryce.

Klimat tam jest bardzo surowy; zima trwa przez dziesięć miesięcy, podczas której temperatura 40° poniżej zera uważana jest za normalną. Prócz dotkliwego mrozu ludy dalekiej północy cierpią jeszcze z powodu braku dziennego światła, gdyż w ciągu sześciu miesięcy życie ich płynie wśród długiej, nieprzerwanej nocy.

Istnienie Eskimosów jest tak samo surowe i pierwotne, jak otaczająca ich przyroda. Mieszkają w chatach wydrażonych w dużych stosach śniegu których wnętrze wyłożone jest skórami fok i renów. Dla podtrzymania ciepła w chatach tych umieszczają duże naczynia, napełnione tłuszczem, w których zanurzony jest gruby knot. Ten rodzaj lampy pali się bez przerwy dniem i nocą, wydając przykry zapach i gryzący swąd. Można więc sobie wyobrazić jaki zaduch panuje w domostwie Eskimosa, skoro nie jest ono przewietrzane podczas sześciu zimowych miesięcy.

Cała choćby najlichniesza rodzina mieści się w takiej lodowej jamie. Z ludźmi przebywają też czasem młode psy, które są jeszcze zbyt delikatne, by móc bez szkody dla ich zdrowia pozostawiać je na śniegu, w jamie wyrytej w lodowcu.

Ponieważ psy są największym skarbem Eskimosa i istnienie jego bez tych pożytecznych zwierząt byłoby zupełnie

niemożliwe, dba on o nie bardzo i ota za troskliwą opieką.

Chcąc zabezpieczyć przed zimą młode psiaki Eskimosi umieszczają je w futrzanych torbach, które zawieszają tuż obok płonącej lampy. Tym sposobem zwierzęta otrzymują ilość ciepła potrzebną dla ich rozwoju.

Eskimosi żywią się przeważnie mięsem fok, którego robią ogromne zapasy. Natychmiast po zabiciu zwierzęcia mięso zamarza i w takim stanie jest przechowywane i spożywane w miarę potrzeby. Eskimosi pozbawieni są zupełnie pokarmów roślinnych. Pożywienie psów w nich nie różni się od pożywienia ich właścicieli.

Ponieważ mięso fok stanowi główne pożywienie Eskimosa i jego rodziny musi on czuwać by jego zapasy nie wyczerpały się zbyt szybko i w tym celu od czasu do czasu udaje się na polowanie.

Myśliwi, pomimo ciągle panującego mroku, opuszczają swe chaty i udają się w noc ciemną, by stanąć na czatach przy otworach w lodzie, zrobionych przez fok, które wiecznie nie mogą żyć w wodzie i od czasu do czasu wynurzają się na powierzchnię, by wciągnąć w siebie trochę powietrza.

Są one bardzo czujne i podejrzliwe i pomimo wielkich ostrożności myśliwych, doskonale zdają sobie sprawę z bliskiej ich obecności. Myśliwi zmuszeni są czuwać przez długie godziny wśród nieskończonych przestrzeni lodowych i nieprzebitych wzrokiem ciemności. Stoją, powstrzymując się od najłagodniejszego nawet poruszenia, gdyż jeden nieoponowany ruch, spłoszyć może wrażliwą fokę i uniemożliwić jej zdobycie.

Po długich godzinach oczekiwania w otworze lodowym pokazuje się wreszcie głowa zwierzęcia. Jest to odpowiedni moment. Wtedy Eskimos ze wszystkich sił rzuca w zwierzę harpunem, t. j. rodzajem żelaznej, ostro zakończonyj strzały. Narzędzie to używane jest również przy po-



łowie wielorybów. Biada jednak niebacz-  
nemu śmiałkowi, jeżeli rzucony harpun  
nie dosięgnie swojej ofiary. Foki uakną  
momentalnie i nieprędko znów pokażą się  
w tej okolicy, co może sprowadzić głód  
na całą rodzinę.

Tak mija zima. Mężczyźni od czasu  
do czasu udają się na polowanie poza tem  
siedzą w chacie, reperują skórzane ubra-  
nie, szyją nowe i szykują harpuny i strza-  
ły z kości.

Aż nagle jednego dnia na krańcu ho-  
ryzontu ukazuje się blade, nieśmiałe  
światło, trwające zaledwie chwil kilka  
i mnikące wśród gęstego mroku nocy pół-  
nocnej.

Stopniowo światło robi się coraz wy-  
raźniejsze i nie znika tak szybko.

Eskimosi wiedzą, że zbliża się wio-  
sna. Pospieszają więc wypuścić na swo-  
bodę sfory swych psów, zmęczonych dłu-  
giem, zimowem zamknięciem. Zaprzęgają  
je do sani i niestety wtedy właśnie naja-  
możność przekonania się jakie fatalne  
skutki wywarły na biedne zwierzęta, zim-  
no, głód i absolutny brak światła.

Psy, znalazłszy się na swobodzie,  
oślepięte światłem, którego nie widziały  
podczas długich miesięcy odczuwają tak  
silnie zaszłą zmianę, że ogarnia je jakieś  
nieopanowane szaleństwo. Rzucają się je-  
dne, na drugiego skowyczą, szczekają, gry-  
zą się, a szal ten udziela się całemu za-

przegowi i człowiek zupełnie traci nad  
niemi władzę.

Ani nawoływania, ani mocne uderze-  
nia bata nie wywierają żadnego wrażenia.  
Szamoczą się, rwą krapującą je uprząż,  
aż wreszcie, odzyskawszy zupełną swo-  
bodę, pędzą przed siebie i pozostawiają  
swych właścicieli wśród nieskończonej  
lodowej pustyni.

Jeżeli podobny wypadek zdarzy się  
w pobliżu osiedli ludzkich, opuszczony  
przez psów człowiek może przeto dojść  
do jakiejś chaty i ocalić się. Lecz, gdy sta-  
nie się to w miejscowości niezaludnionej,  
gdy podróżny wskutek zamieci śnieżnej  
straci możliwość orientacji i nie wie, gdzie  
się znajduje i jaki wybrać kierunek, nie  
pozostaje mu nic innego, jak sięść na od-  
łamku lodowca i czekać nadejścia snu,  
snu po którym niema już przebudzenia.

Takie to trudne i pełne grozy jest ży-  
cie ludów północy. Gdy więc, drodzy  
czytelnicy, przyjdzie na was chwila roz-  
goryczenia, gdy jakieś błahę przeciwności  
zniechęcą nas, gdy zima i wczesne wsta-  
wanie dawać się nam będą we znaki, po-  
myślcie o tych dalekich braciach waszych  
— ludziach północy i porównując ich, po-  
zbawione ciepła i światła istnienie,  
znajdźcie w sercach waszych dość mę-  
stwa by bez szemrania znosić drobne  
przykrości, dnia codziennego.





# Gazetka Janka



## Niedziela.

Janek wstał wcześniej od ojca. Nie spokojnie kręci się po pokoju. Tak rzeszkadza mamie swemi nerwowemi ruchami, aż musiała go skarcić. Chłopiec jednak wciąż jest nieswój. Ukradkiem spogląda na ojca, który leży smutny i zamyślony. Każde jego poruszenie na łóżku wywołuje nerwowy ruch Janka, podrywa go, jakby wezwanie. Czas się dłuży, oczekiwanie zdaje się być daremne. Niepokój ten jest tem bardziej przykry, że zaczął trapić Janka už w sobotę wieczorem. Kiedy ojciec miał zajęcie, chociaż raz na tydzień w niedzielę kupował sobie „Robotnika”, siadał przy stole i kilka godzin wczytywał się w kolumny tego pisma. Gazeta ta zajmowała nietylko ojca, On, Janek wiedział, że co drugą niedzielę znajdzie część i dla siebie, jego pismo — „Przyjaciel Dzieci”.

Dzisiaj właśnie przypadła ta druga niedziela. I ma go ominąć wielka przyjemność wycięcia z ojcowskiej gazety swego pisma! Ma być pozbawiony czytania miłych wierszyków, ciekawych powiastek i zajmujących czytanek z przyrody. Przecież taka niedziela była dniem tak oczekiwanym!.. Kompletował sobie cały rocznik. A teraz będzie mu brakowało ostatniego numeru. A może już nigdy więcej z pismem tem się nie spotka? Będzie na za-

wsze pozbawiony swej gazetki, i straci tyle nowych wiadomości... Żal dławii Janka w gardle. Serce bije mu tak mocno, że słyszy je w całym swem ciele. Chciałby zająć się lekcjami, ale ręce mu drżą, nie może zebrać żadnej myśli.. Tłumi wyrwywający się w piersi płacz. Wie, że dopóki ojciec pracował, czekała go niedzielna wędrowka do gazeciarki. Ale co będzie dzisiaj? Już prawie tydzień, jak tato zarejestrował się do bezrobotnych. Ciężko: grosz grosz goni... Ojciec przeciera ręką czoło i od czasu do czasu głęboko wzdycha. Janek bierze książkę do polskiego — może jaka czytanką z wypisów uspokoi go. Gdzie tam! W oczach mu się mąci. Łzy osiadły na rzęsach i zamieniają litery w czarne, zamazane plamy.

— Janku, podaj mi z kieszeni papierozy — przemówił ojciec. Słowa te przerwały długą, męczącą ciszę, która panowała ostatnio w domu Kowalczyków. Janek zerwał się i drżącemi rękami począł przeszukiwać kieszenie marynarki ojca. Wtem drgnął, znieruchomiał: między palcami w prawej kieszeni przesunęła mu się jakaś moneta... W pierwszej chwili nie zdołał uświadomić sobie samym dotykem, aby wielkością pieniążka ocenić jego wartość.. Ścisnął monetę, poruszał ją palcami i wciąż szukał w tej kieszeni, chociaż dobrze wiedział, że niema w niej pudełka z papierosami.

— Znalazłeś? — spytał niecierpliwie ojciec.

Spazmatyczne „proszę” wyrwało się Jankowi, gdy wręczał ojcu papierosy. Chłopiec zaczął głośno łkać.

— Co ci się stało? — zapytał jednocześnie ojciec i matka.

— Ta-tuś dzisiaj nie po-sy-ła mnie po „Robotnika” — sylabizował płaczącwie chłopiec — a tam przecież jest dzisiejszy mój dodatek — „Przyjaciel Dzieci”.

— Przecież wiesz, synku, że nie mam zajęć, za co więc kupię? Sambym



chciał poczytać, dowiedzieć się co na świecie słychać — tłumaczył Jankowi ojciec.

— A ja znalazłem w tatusia kieszce 20 groszy, akurat na „Robotnika” — szybko odpowiedział Janek.

Ojciec, który sam nie wiedział, że ma tę monetę, ucieszył się i rzekł całując syna w czoło:

— Twoje szczęście, leć, syneczku, kup!

Janek zapomniał o świecie... W jednej chwili znikły łyzy, przepadł dławiący smutek, w piersiach jego zapanowała na-

tomiasł słoneczna radość. Lotem strzały znalazł się na ulicy. A kiedy podawał ojcu niedzielny numer „Robotnika”, snuły mu się w głowie jakieś niewidziane nigdy obrazki, nieczytane nigdzie opowiadania, słyszał w swej wyobraźni jakieś wiersze znane mu tak dobrze, chociaż ich nigdy się nie uczył... Czuł się tak wesoły, tak szczęśliwy, jak w dzień odjazdu na kolonje... Oczy jego gorzały dziwnym blaskiem, kiedy z dziecięcą czułością pochłaniał serdeczne słowa „Przyjaciela Dzieci”.

A. M — icz.

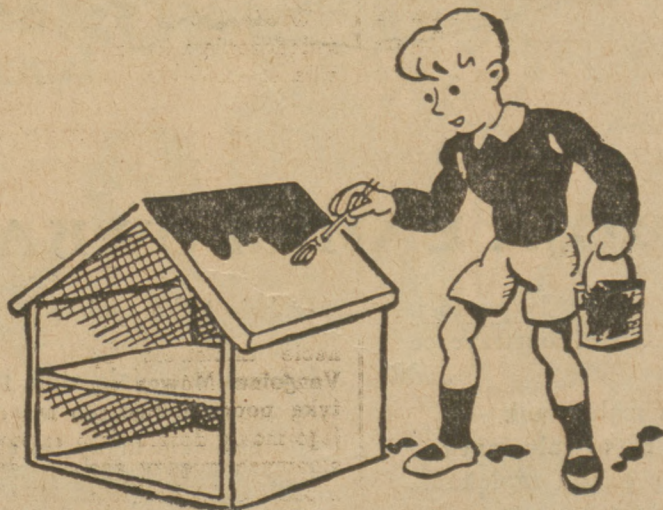
## Dobry braciszek

Dostała Irka na imieniny od Cioci małą laleczkę. Bawiła się nią przez dzień cały, a wieczorem ułożyła do snu w łóżeczku, które zrobiła z dużego pudełka od giłz. Nie wiedziała tylko gdzie umieścić na noc swoją córeczkę, gdyż w mieszkaniu było bardzo ciasno i trudno było znaleźć nawet małeńki kącik.

tach; postawiłabym domek na stoliku pod piecem i nie przeszkadzałby nikomu — mówiła zakłopotana Irka.

Nikt nie odpowiedział na to pragnienie Irki, bo przecież o kupieniu zabawek nie mogło nawet być mowy, gdy tatuś zarabiał zaledwie na pierwsze potrzeby.

Tylko Felkowi, starszemu bratu Irki



— Gdybym miała domek dla lalki, jak ten, który widziałam na wystawie w sklepie z zabawkami, moja córeczka nie potrzebowałaby poniewierać się po ką-

zrobiło się bardzo przykro. Kochał on niezmiennie swą małą siostrzyczkę i zawsze chętnie bawił się z nią i starał się jej dogodzić. Gdy więc dziewczynka wyra-



ziła pragnienie posiadania domku dla lalki Felek zaczął przemyślać nad tem w jaki sposób możnaby było zrobić jej tę przyjemność.

W tym samym domu co rodzice Felka i Irki, mieszkał stolarz. Felek często zachodził do jego warsztatu i przyglądał się pracy. Wiedział więc coś nie coś o stolarce, postanowił spróbować czy i da mu się zrobić domek dla lalki Irki.

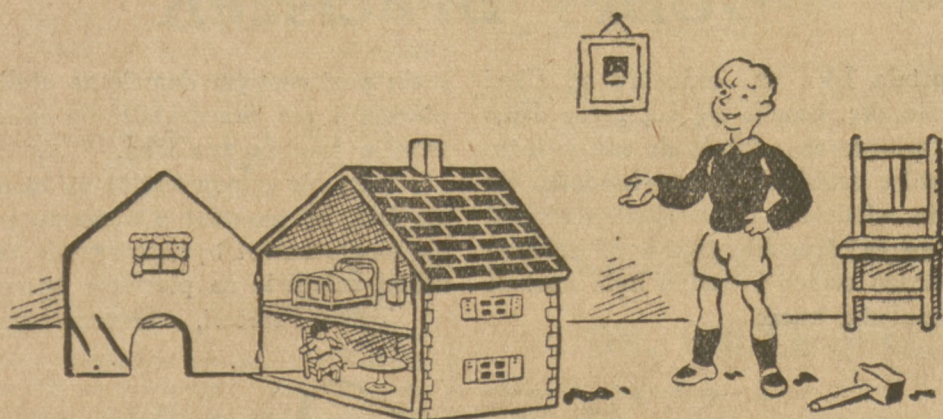
Następnego dnia zabrał się do dzieła. Ze starej, drewnianej paczki miało być zrobione mieszkanie dla lalki.

Uczynny stolarz chętnie pożyczył na-

rzędzia i nawet podarował garść potrzebnych gwoździ. Domek rósł w oczach i coraz bardziej nabierał wyglądu mieszkania ludzkiego.

Wprawdzie mały budowniczy nie raz i nie dwa skaleczył sobie rękę, a nawet boleśnie przygniótł młotkiem dwa palce u lewej ręki, ale to było głupstwo wobec radości Irki, gdy Felek dał jej gotowy już domek.

Felek zaś takiego nabrał upodobania do zawodu stolarskiego, że postanowił po skończeniu szkoły zostać stolarzem.



## MOJA ŁAMIGŁÓWKA

Mojej łamigłównie nie każdy poradzi:  
Nieraz już dawałam mej siostrzyczce

Jadzi,

Aby ułożyła kilka malowanek —  
Napróżno straciła na to cały ranek,  
A potem do mamy poszła zapłakana..  
Śmiałem się ogromnie z naszego Stefana.  
Kiedy konia złożył z głową krokodyla,  
A słoniowi skrzydła przyprowadził motyla.  
Ja umiem układać klocki doskonale.  
To też przed wszystkimi śmiało się  
pochwalić

Ledwie tylko spojrzę — już lew, co ma  
grzywę

I dwa misie białe stoją jak prawdziwe.  
A potem żyrafa, co ma długą szyję,  
Nie układam nigdy tej strony, gdzie żnije  
I tatuś nasz kiedyś skrycie mówił mamie.  
„Kto klocki ułoży, ten głowę połamie”.  
Ale że mam mocną, więc też łamigłównę  
Prędzej pewno zniszczę, niżli moją  
głównę.

A. M. — wicz.



# POJEDNANIE

W szerokich korytarzach szkolnych wre jak w ulu: fala głosów to cichnie, to podnosi się, to zupełnie milknie, gdy w pobliżu ukaże się sylwetka którego z surowszych nauczycieli.

Chłopcy są nadzwyczajnie wzburzeni: po dwóch miesiącach wakacji i rozłączenia dziś znów zobaczyli się z sobą, mają więc tyle do opowiedzenia; tyle różnorodnych przeżyli wrażeń, chcieliby w jednej chwili wrzucić to wszystko w otwarte uszy kolegów i przyjaciół, a tu na samym wstępie oczekuje ich nowa wiadomość która nie pozwala o niczem innem ani myśleć, ani mówić.

Staś Darowski, pierwszoklasista, syn sekretarza szkoły, zakomunikował, że dawny nauczyciel języka polskiego niespodziewanie ustąpił z zajmowanego stanowiska i że już jest nowy profesor. Wiadomość ta lotem strzały obiegła całą szkołę; obstępowałmalca i rzucają mu szereg pytań:

- Jak się nazywa?
- Jak wygląda? Stary, młody?
- Widziałeś go kiedy?
- Co twój ojciec o nim mówi?

Staś broni się, jak może, robi tajemnicze, wiele mówiące miny, ociąga się z odpowiedzią, wreszcie z udaną obojętnością cedzi:

— Nie wiem, czy już przyjechał, nie widziałem go, ale słyszałem, jak tatuś mówił do mamy, że to świeżo upieczony nauczyciel, gdyż dopiero w tym roku skończył uniwersytet.

— Ładny gips — woła jakiś czwartoklasista — na nas uczyć się będzie i wymiatać złość za dwóje, które niedawno sam zbierał.

— Winszuję, ale nie zazdroszczę klasie, która go dostanie — dorzuca drugi — najgorsi są ci młodzi, co to „nie pamięta wół, jak cielęciem był”.

Przeraźliwy, donośny dzwonek kładzie tamę nieskończonej rozmowie; chłopcy roz-

biegają się po klasach i zajmują swoje miejsca.

Czwarta klasa najwięcej jest zainteresowana zmianą nauczyciela, gdyż według rozkładu „nowy” powinien objąć w niej 4 godziny tygodniowo języka polskiego, oraz 2 godziny tygodniowo Historji Polskiej. Siedząc w ławkach i raz wraz, spoglądając na uchylone drzwi, odwracają się jedni do drugich i ciągną dalszą pogawędkę.

Za chwilę wchodzi dyrektor w towarzystwie nieznanego młodego człowieka.

Chłopcy powstają z miejsc, a dyrektor mówi:

— Oto wasz nowy nauczyciel, p. Stefan Hański, przypuszczam, że nie pożałujecie starań, by skorzystać z jego wykładów i uczynić zadawalające postępy.

Po tych słowach wychodzi, zostawiawszy „nowego” na środku klasy.

Chłopcy siadają i czterdzieści par oczów chciwie śledzi nauczyciela.

Jest to młody, zaledwie dwudziesto-pięcioletni mężczyzna, dość wysoki, nadzwyczaj szczupły o wychudłych rękach z bardzo wyraźnymi więzaniem stawów. Twarz blada, ściągła, nosząca ślady niedospanych nocy i niedojedzonych obiadów, rozjaśniona jest głębokimi szafirowymi oczami o smutny i bardzo łagodnym wyrazie.

Chłopcy badawczo patrzą na nauczyciela, ogarniając go wzrokiem od stóp do głowy, chcieliby wdrzeć się pod czaszkę, by przeniknąć jego myśli i umiejętnie postępować z tym „nowym”.

Ten szczegółowy przegląd snąc niekorzystnie wypada dla nauczyciela, gdyż na twarze chłopców występuje jawny wyraz niechęci.

Tymczasem p. Hański wchodzi na katedrę, staje przy stole, opiera dłonie na klasowym dzienniku i zaczyna głosem miłym i równym:



— Zanim poznamy się bliżej i wspólnie pracować zaczniemy, chcę przypomnieć wam jedno hasło, które zawsze powinno łączyć was w pracy. Hasłem tem jest obowiązek! Przekonacie się z czasem, że całe życie nasze to jeden wielki obowiązek, dzielący się na dziesiątki i setki mniejszych. Obowiązki są niezliczone i nieogarnięte, zależnie od stanowiska człowieka i jego warunków, spełnianie zaś ich stanowi o naszej moralnej wartości. Wy chłopcy, dziećmi jeszcze jesteście, otoczenie wasze dostarcza wam wszystkiego, żądając wzamian za to tylko chęci skorzystania z tych darów. A więc w imię obowiązku uczcie się nie dla stopni, nie dla pochwały i nagrody, lecz kształćcie wasze umysły i serca, byście kiedyś powiedzieć mogli: — Nie zmarnowaliśmy ani dnia, ani godziny i potrafimy godnie przejść przez życie!

Chłopcy słuchają obojętnie; kilku z nich lekceważąco ziewa, inni trącają się łokciami szepcząc: Nudny!

Wobec zachowania się uczni nauczyciel przerywa wstęp i głosem suchym prosi o podanie książki. W ławkach zaczyna się szmer, nikt jednak nie spieszy ze spełnieniem tego żądania. P. Hański podchodzi do pierwszej ławki, w milczeniu bierze książkę z pulpitu i wraca na katedrę.

— Wiedziałeś jaki ma niemodny krawat? — pyta Lutek Rybicki siedzącego obok niego Cześka Falskiego.

Są to najstarsi uczniowie, powtarzający drugi rok kurs czwartej klasy.

— Krawat, mój kochany, to głupszo, ale trzeba ci było zobaczyć jaki ma tużur, powiadam ci jakby kto szmalcem szwypucował do glansu — odpowiada zapytany i śmieje się złośliwie, zadowolony ze swego dowcipu.

Lekcja ciągnie się dalej, przerywana raz wraz ziewnięciem, kichnięciem lub gwałtownym wybuchem powstrzymywanego śmiechu.

Nareszcie odzywa się dzwonek.

Nauczyciel wychodzi, a w drzwiach doganiają go epitety, wyrzucane z ostatnich ławek:

— Truposz! Uciekinier z katafalku! Głodómór!

P. Hański nie odwraca głowy i bez słowa opuszcza klasę.

Kilku piątoklasistów przyszło na wywiady:

— Gadajcie, jakże tam „nowy”?

Odpowiedzi posypały się obficie:

— A no, wyobraźcie sobie, plótno nam o obowiązkach zamiast przeczytać listę i poznać nasze nazwiska.

— Zakazana jakaś figura, ledwo na nogach się trzyma.

— Trzy ćwierci temu do śmierci, a nie na katedrę!

Kilka głosów protestu dało się słyszeć:

— Przesadzacie, nie taki znów straszny!

— Wcale dobrze mówił, tylko nie dajcie mu skończyć waszem ziewaniem i śmiechem.

Dzwonek znów zapowiedział rozpoczęcie następnego wykładu. Do samego końca lekcji czwartoklasiści podczas wszystkich przerw nie mówili o niczem innym jak tylko o nowym nauczycielu i wynajdywali w nim tysiączne braki i wady.

Nazajutrz i dni następnych stosunek uczni do p. Hańskiego bynajmniej się nie poprawił. Napróżno nauczyciel starał się zająć chłopców pięknymi opowiadaniem, kilkakrotnie tłumaczył każdą zadaną lekcję, by ułatwić im przygotowanie jej w domu, uczniowie siedzieli wprawdzie spokojnie, nie uważali jednak zupełnie, a nawet niektórzy pozwalali sobie odrabiać inne lekcje.

P. Hański nie podnosił nigdy głosu, uwagi zaś czynił zawsze bardzo łagodnie i serdecznie.